

„Poezja to zakon, a nie łąka motyli”



Ksiądz Profesor Janusz Ihnatowicz

Rozmowa z ks. Januszem Arturem Ihnatowiczem

Edward Zyman: Przypomnijmy na wstępie kilka faktów. Opuścił Ksiądz Polskę w wieku lat siedemnastu, by w 1946 roku wraz z matką i siostrą połączyć się z przebywającym w Wielkiej Brytanii ojcem, oficerem polskich sił zbrojnych na Zachodzie. W Szkocji, w polskiej szkole, zdał Ksiądz maturę, po czym uzyskał dyplom angielski na Uniwersytecie Londyńskim, by w 1948 wyjechać do Irlandii, gdzie w latach 1948-1951 studiował filozofię i psychologię na uniwersytecie w Dublinie. W rok po obronie dyplomu (1952) zamieszkał Ksiądz w Toronto w Kanadzie, skąd w 1958 nastąpił powrót do Polski. Kolejnym etapem były studia w Seminarium Duchownym w Kielcach, gdzie cztery lata później Ksiądz otrzymał święcenia kapłańskie. Następne lata przyniosły kontynuację studiów teologicznych w Warszawie, Ottawie i Rzymie, zwieńczonych uzyskaniem w 1984 roku doktoratu w rzymskim Angelicum. W latach 1969-1997 wykładał Ksiądz teologię na uniwersytecie katolickim St. Thomas w Houston w Teksasie, gdzie mieszka do dzisiaj. Czy w tym skrótowym z konieczności biogramie wszystko się zgadza, a może Ksiądz chciałby wprowadzić doń pewne korekty i uzupełnienia?

Janusz Artur Ihnatowicz: Wszystko się zgadza.

E.Z.: Czy zachował Ksiądz w swojej pamięci okoliczności powojennego wyjazdu do Anglii? W tamtym okresie z oczywistych względów nie było to przedsięwzięcie łatwe.

J.A.I.: Tak, to przecież było dramatyczne przeżycie. Nie tylko sam fakt opuszczenia Ojczyzny. Już teraz nie bardzo mogę sobie odtworzyć moje nastawienie do tego faktu. Wcześniej nieco w paczce kolegów i koleżanek z tajnych kompletów wojennych snuliśmy rozważania o oporze przeciw komunie. Ale już zaczęli zniknąć koledzy poszukiwani przez UB, o których dowiadywaliśmy się, że są w Anglii. Wszystko to czyniło takie wyjazdy czymś mniej „nie-do wyobrażenia”. Zresztą wątpię, czy rzeczywiście miałem jakieś zdecydowane sprzeciwy wobec podjętej przez Matkę decyzji. Natomiast sama podróż przez „zieloną granicę” barką na Odrze i kanale do Berlina była jak z powieści przygodowej. Po paru tygodniach w Berlinie pojechaliśmy pociągiem do stacji bliskiej granicy strefy brytyjskiej. To był najbardziej pełen obaw odcinek, bo w czasie przejazdu przez strefę sowiecką zdradzenie się jako

Polacy wobec współpasażerów przepelnionego pociągu groziło tym, że nas wydadzą władzom sowieckim. Nasz opiekun, Volksdeutsche z Polski, ogłosił, że jesteście Niemcami z Estonii - to miało tłumaczyć braki naszej niemczyzny. Później nocna wielokilometrowa wędrówka do granicy strefy brytyjskiej - ciągnęła obawa, że natkniemy się na patrol sowiecki. A potem to już była „normalka”. Polskie władze wojskowe zaopiekowały się nami, wydały nam karty dipisów i umieściły w słynnym Maczkowie, gdzie doczekaliśmy wiz do Anglii. Cóż, to historia na różne sposoby podobna do wędrówki setek, jeśli nie tysięcy rodzin wojskowych. Czasem żałuję, że nie zmobilizowałem się, by to opisać. Może teraz, jako poeta i profesor na emeryturze, coś na ten temat zrobię.

E.Z.: W latach 50. i 60. był Ksiądz związany z londyńską grupą Kontynenty, zjawiska w historii polskiej literatury wyjątkowego. Czy zgodziłby się Ksiądz z tezą, że ówczesne kontakty z kręgiem młodych polskich poetów, którzy debiutowali na obczyźnie, miały istotny wpływ na Jego późniejszą działalność literacką, a może, powiedzmy to wprost, zadecydowały wręcz o tym, że ksiądz został pisarzem? Po latach w jednym z wywiadów Ksiądz wprawdzie oświadczył: „Nigdy nie tęskniłem za środowiskiem”, nie potrafię się jednak wyzbyć wątpliwości, czy podobnie Ksiądz czuł w tamtym, szczególnym w Jego życiu, okresie. Przecież wówczas, dla młodego emigranta o literackich ambicjach przebywanie wśród ludzi zbliżonych wiekiem, zainteresowaniami i doświadczeniami życiowymi, którzy byli uczestnikami istotnych dyskusji i odbiorcami jego pierwszych prób pisarskich, musiało być z wielu względów znaczące.

J.A.I.: Kontynenty? Na pewno wpłynęły na to, że stałem się poetą publikowanym. Ale wiersze pisałem już wcześniej. Powiedziałbym nawet, że w pewnym sensie nie należałem do tej grupy, bo gdy oni formowali się (w sensie wspólnej działalności wydawniczej) najpierw byłem daleko od Londynu w Irlandii, a potem jeszcze dalej - w Kanadzie. Właściwie tym, który sprowokował moje pierwsze już na poły dorosłe zafascynowanie poezją polską był polonista Czesław Bobolewski w szkole polskiej w Garelochhead w Szkocji. Potem, podczas studiów w Dublinie, było paru kolegów, z którymi czytaliśmy sobie wzajemnie wiersze. Nawet mieliśmy wieczór autorski w „salonach” konsulatu polskiego - wtedy jeszcze Irlandia uznawała polski rząd na uchodźstwie. O ile mi wiadomo - spośród nich tylko ja zostałem zawodowym pisarzem.

E.Z.: Wymienił Ksiądz nazwisko Czesława Bobolewskiego.

J.A.I.: Tak, wspomniałem jego nazwisko, ale w tym momencie uświadomiłem sobie, że pierwszą osobą, która coś we mnie odkryła i zaszczepiła miłość do literatury była pani Różycka, profesorka języka polskiego na tajnych kompletach w I Liceum im. Juliusza Słowackiego w Częstochowie. Dzisiaj nie pamiętam już jej imienia, wiem natomiast z całą pewnością, że prowadzone przez nią lekcje języka polskiego i przede wszystkim rozmowy z nią były dla mnie wielce inspirujące. Czułbym się niezręcznie, gdybym w naszej rozmowie tym wspomnieniem nie spłacił zaciągniętego wobec niej długu. Natomiast jeśli chodzi o Czesława Bobolewskiego, był to znany i ceniony przed wojną polonista w Grodnie, a od roku 1937 w Harbinie w Mandżurii (gdzie zastąpił Zbigniewa Folejewskiego). Wojna zmusiła go do ewakuacji z Harbinu, później był nauczycielem w różnych szkołach polskich sił zbrojnych na Zachodzie. Obok mnie do jego uczniów należał m. in. Florian Śmieja. Bobolewski uczył nas, jak powiedział Zbyszek Siemaszko, ekonomii słowa i „jędrej mowy”. Wojciech Jerzy Podgórski w swojej książce *Emigracja walczących* pisze, że ma egzemplarz *Ryb na piasku* z jego uwagami na marginesie.

Wracam jednak do moich początków literackich. Z późniejszej londyńskiej grupy miałem osobisty kontakt tylko z Bolesławem Taborskim, gdy jeszcze żadnego wcielenia „Merkuriusza” nie było. To on zrobił ze mnie kontynentowca, bo zaczął mnie tam publikować. W ich działalności, nawet we wcześniejszym okresie (przed październikiem 56) właściwie nie brałem udziału, poza listami do Taborskiego, z których wyjątki on później tam drukował. To powiedziawszy, muszę przyznać, że moje rozumienie naszej sytuacji, jako poetów piszących po polsku, zgadzało się zasadniczo z tym, jak to inni członkowie Kontynentów odczuwali.

E.Z.: Krytycy, badacze literatury wielokrotnie zwracali uwagę na wyjątkowość tej sytuacji, stwierdzali to także sami członkowie grupy (Czerniawski, Czaykowski, Busza, warto przypomnieć tu także słynne sformułowanie Księdza opublikowane w 1955 roku na łamach „Merkuriusza Polskiego”: „My widzimy kulturę polską przez oczy kultury zachodnioeuropejskiej, w przeciwieństwie do starszego pokolenia, które widziało kulturę zachodnią przez oczy kultury polskiej. My Słowackiego czytamy na tle topoli Sekwany, na tle ścian Stratfordu”). Język angielski nie „kusił” w sensie poetyckim?

J.A.I.: I to jest chyba najciekawsza sprawa. Wydaje mi się jednak, że często się przesadza, co do realności naszego możliwego wyboru twórczości angielskiej. Poza może Andrzejem Buszą, nasz kontakt z kulturą angielską dokonał się w wieku, gdy już byliśmy dość uformowani językowo i kulturowo. Nasza wyobraźnia była wyobraźnią Polaków. Choć to prawda, jak pisałem do Taborskiego, że my spoglądamy na Wisłę od Tamizy, że mamy tendencję do spoglądania na poezję polską przez soczewkę poezji anglojęzycznej, że to jednak Wisła a nie Tamiza jest rzeką naszej wyobraźni, a poezja angielska jest odświeżeniem naszej polskiej literackiej mowy. Szereg z nas wyprodukowało angielskie wiersze, lecz te - z wyjątkiem najmłodszego z nas Buszy, który po latach zarzucił język polski - zawsze chyba były czymś ubocznym. Osobna sprawa to problem tłumaczenia siebie i innych na angielski.

E.Z.: Domyślam się, że siebie tłumaczył Ksiądz raczej niechętnie, skoro w *Poezjach zebranych* znalazł się wydany w 1975 roku w Londynie anglojęzyczny tom *Displeasure*.

J.A.I.: Początkowo zakładałem, że tom będzie zawierał tylko wiersze polskie. Redakcja jednak postanowiła, że poezje zebrane to znaczy wszystkie wiersze publikowane. O tłumaczeniu tych wierszy nie było mowy, ile to by czasu zajęło. Istniało szereg przekładów Beaty Tarnowskiej. Kilka ukazało się we „Frazie”, inne w częściowych cytatach w jej książce *Między światami*. I tu powstał pewien paradoks, bo szereg wierszy w pierwszej części *Displeasure* to wersje angielskie wierszy, które się wcześniej ukazały w polskich tomikach. Także tłumaczyłem wiersze, które ukazały się w wydanej w Kanadzie antologii *Seven Polish-Canadian Poets (1984)*. Ale ma Pan rację, że mój stosunek do moich własnych i innych tłumaczeń moich wierszy (i to w obie strony) jest dość ambiwalentny; najczęściej produkt otrzymany sprawia poczucie niedosytu, zwłaszcza od strony dźwięku i rytmu, a więc czegoś, co dla mnie jest istotne w poezji.

Wracając do Pana poprzedniego pytania o potrzebę polskiego poetyckiego środowiska, zwłaszcza rówieśników. Nie miałem tutaj wyboru, bo takiego środowiska nigdy nie mogłem mieć. W Kanadzie utrzymywałem sporadyczne i przyjacielskie kontakty z Danutą Bieńkowską, lecz poezja nie była ich podstawowym, głównym wątkiem. Kontaktowałem się też z Iwaniukiem, Jadwigą i Adamem Tomaszewskimi,

także Zofią Bohdanowiczową, ale to było już inne pokolenie. Być więc może, że to życie tak moją psychikę literacką uformowało, że straciłem poczucie potrzeby tego, czego nie mogłem mieć. W czasie mojej młodości mój romans z poezją odbywał się całkowicie *via* książki. I tak pozostało: moje pisarstwo nie potrzebowało i nie potrzebuje podniety poetyckiego „środowiska”.

E.Z.: Pierwsze wiersze zamieścił Książd na łamach londyńskiego „Życia Akademickiego” w 1954 roku. Później były publikacje na łamach „Merkuriuma Polskiego” i „Kontynentów”, druk w zredagowanej przez Adama Czerniawskiego antologii *Ryby na piasku* (1965), opracowanej przez ks. Bonifacego Miązka antologii współczesnej poezji kapłańskiej *Słowa na pustyni* (1970), ale pierwszy samodzielny tom księdza *Pejzaż z postaciami* ukazał się nakładem Oficyny Poetów i Malarzy dopiero w roku 1972, a więc w 43 roku życia. Co było przyczyną tak późnego debiutu książkowego? Uwarunkowania emigracyjne? Wybory i preferencje osobiste? Szczególny rodzaj pisarskiej perfekcji?

J.A.I.: Późny debiut to nie był mój wybór, ale władz PRL. Po przyjeździe do Polski miałem przyjęty w PIW-ie tomik (z tytułem *Tygrys*). Potem, chyba dlatego, że wstąpiłem do Seminarium, po kilkuletnim zwlekaniu wycofali się z tego. W zmienionym i poszerzonym składzie książkę chciał wydać ZNAK, ale przez szereg lat cenzura wykreślała ją z planu. Podobnie wykreślono mnie z antologii poetów *Kontynentów Opisanie z pamięci* wydanej w 1965 roku w Polsce. Ostatecznie zdecydowałem się opublikować coś w Londynie. I tak się stało, że ostatecznie pozwolono ZNAK-owi na wydanie *Wierszy wybranych*. Oba tomiki drukowane były w tym samym czasie, ale Oficyna zdążyła *Pejzaż z postaciami* opublikować w roku 1972. Inna sprawa, że zawsze miałem i mam dość *laissez-faire* nastawienie do zabiegania o publikację moich utworów.

E.Z.: Wróćmy na chwilę do naturalnych w sytuacji, Księdza i Jego przyjaciół z *Kontynentów*, inspiracji literaturą angielską, co zaowocowało bogatą działalnością translatorską. Wyrazem tego są m. in. zamieszczone w *Poezjach zebranych* tłumaczenia wierszy Audena, Hopkinsa, Yeatsa, Pounda, Thomasa czy Cummingsa. Warto w tym miejscu zaznaczyć, że była to działalność dwustronna, bo przecież Książd, Czerniawski, Czaykowski, Busza, Sito, Taborski i inni tłumaczyli także „w drugą stronę”, przyswajając czytelnikowi anglojęzycznemu interesujące zjawiska

literatury polskiej. Stwierdziłem, że w przypadku twórców ukształtowanych w dwóch (lub więcej) kulturach to rzecz równie cenna, co zrozumiała. W tym jednak konkretnym przypadku chciałbym zapytać o coś, co dotychczas nie było wyraźnie podkreślane. Ksiądz wrócił do kraju w 1958 roku, rok później do Polski przeniósł się Jerzy Sito, który został redaktorem „Współczesności”. Był to czas, gdy w polskiej poezji dokonywały się ważne procesy przewartościowań zapoczątkowane w połowie lat pięćdziesiątych znaczącymi tomami Mirona Białoszewskiego (*Obroty rzeczy*), Zbigniewa Herberta (*Struna światła, Hermes, pies i gwiazda*), Tymoteusza Karpowicza (*Kamienna muzyka*), wydanych w 1956 przez Wydawnictwo Literackie tomem *Wierszy* Andrzeja Bursy. A przecież warto wspomnieć także o poezji Stanisława Grochowiaka, Jerzego Harasymowicza czy Tadeusza Nowaka. W prozie był to m. in. okres głośnego debiutu Marka Hłaski. Toczyły się w tym czasie (przede wszystkim na łamach „Współczesności”) burzliwe nierzadko dyskusje literackie. W 1960 roku nakładem wydawnictwa PAX ukazał się tom *Poezje wybrane* T. S. Eliota z esejem Wacława Borowego, przyswajającym polszczyźnie tego ważnego, nie tylko dla debiutujących w owym czasie autorów, poety. Przypuszczam, że były to zjawiska dla Księdza z wielu względów inspirujące.

J.A.I: Inspiracje, czy tylko świadomość tego, co się dzieje? Zaczniemy od sprawy najłatwiejszej – Eliota. Przypuszczam, że ten tom tłumaczeń dotarł do mej świadomości, ale nie bardzo pamiętam. Na Eliota nie musiałem czekać na tłumaczenia, był on w mojej świadomości od dawna. Co do innych, chciałbym odróżnić dwie sprawy. Pierwsza to zaistnienie autorów wymienionych przez Pana (a można by dodać i innych). Naturalnie po powrocie do Polski spotkałem się tymi książkami. Z wymienionych Mirona Białoszewskiego znałem osobiście, często bywałem u niego nie tylko na spektaklach, ale na dziennych pogaduszkach przy herbacie. Nawet dał mi zgodę na wystawienie *Szurów* w teatrze kleryckim w Kielcach. O ile mi wiadomo była to pierwsza prezentacja jego sztuki poza jego własnym „teatrem osobnym”. Czytałem i czytam wiersze tego poety z przyjemnością, bo podziwiam jego wirtuozerię słowotwórczą i zabawy językowe. Ale nie była to chyba inspiracja w jakimś bardziej istotnym sensie. Podobnie z Harasymowiczem. Trochę moich wierszy „na manierę pseudoludową” styka się z jego twórczością, czytuję go do dziś z przyjemnością, ale nie widzę w nim jakiejś inspiracji. Co do innych wymienionych przez Pana autorów? Szczegóły już mi się zatarły w pamięci.

Natomiast, mógłbym zrobić listę innych nazwisk z tego okresu. Trzeba też pamiętać, że wtedy, przeszło pół wieku temu, nie wstawiono ich jeszcze do narodowego panteonu. Byli to młodzi ludzie w gromadzie innych piszących wiersze. Atmosfera skandalu wokół takich autorów jak Hłasko miała więcej do czynienia z polityką owego czasu niż literaturą. Kto, na przykład, czyta dzisiaj *Poemat dla dorosłych* Ważyka? Inna sprawa to owe „procesy przewartościowań” i płynące z tego dyskusje we „Współczesności” (i gdzie indziej). Trzeba pamiętać, że w roku 1958 już się one dopalały. Wydały mi się też nieco zaściankowe, bo wyrastające z problemów małego zakątka komunistycznego raju. Jeśli chodzi o meritum sprawy, to postulaty różnej maści reformatorów sprawiały na mnie wrażenie wyważania drzwi dawno w literaturze świata zachodniego otwartych. Osobiście nie musiałem się wyzwalać z zauroczenia komunizmem, a terror stalinizmu mnie ominął. W przeciwieństwie też do Sity czy Taborskiego nie przyjechałem, by się włączyć w jakąś wersję tworzenia socjalizmu z ludzką twarzą. A moje parę miesięcy po przyjeździe bycia prawie celebrytą oscylującym między „katolikami” a „reżymowymi literatami”, którzy mnie chcieli od tych „katolików” uwolnić, przekonało mnie, że te gazetowe burze to próżne gadanie bez wielkiego wpływu na to, co rządzący PRL uczynią. Zresztą przyjechałem do Polski by zostać księdzem a nie działaczem literackim. Moje stosunki z literaturą ograniczały się do czytania tego, co mi odpowiadało.

JANUSZ A. IHNATOWICZ



POEZJE ZEBRANE

E.Z.: Wspomniałem o tomie Eliota i kilku zjawiskach charakterystycznych dla polskiego życia literackiego i intelektualnego w latach Październikowego przełomu z tego przede wszystkim względu, że wiązały się one w przypadku Księdza, jak sądzę, z istotną zmianą optyki. To, co z perspektywy Londynu czy Toronto jawić się musiało niezbyt precyzyjnie, po przyjeździe do Polski ukazało z pewnością pełną gamę barw, niuansów i znaczeń.

J.A.I.: Na pewno jakaś zmiana optyki zaistniała. Muszę przyznać, że mój kontakt z poezją polską do roku 1958 ograniczał się prawie do klasyków poznawanych z paru antologii. Nie mogłem, tak jak koledzy w Londynie, korzystać z Biblioteki Polskiej. Literatura powstająca w PRL, poza nielicznymi wyjątkami, była dla mnie w dużym stopniu prawdziwa *terra incognita*. Obawiam się jednak, że nadal pozostałem w pewnym stopniu *outsiderem*, który z przyjemnością czytał nowo odkrytych poetów, lecz którego zanurzenie się w przywołanej przez Pana „gamie barw i niuansów” było czymś mało interesującym. To w inne sprawy zanurzyłem się zdecydowanie.

E.Z.: Skoro obcujemy z poezją kapłana łatwo, niejako automatycznie, narzucają się skojarzenia, że musimy mieć do czynienia z poezją w wąskim rozumieniu tego słowa religijną. Twórczość Księdza temu wyraźnie zaprzecza. Powołanie kapłańskie wchodzi w przypadku Księdza z powołaniem poetyckim w związku bardziej złożone, rzekłbym: egzystencjalnej natury. W każdym razie wiersze jakie znalazły się w *Poezjach zebranych* nie sposób nazwać laboratorium Jego myśli teologicznej, co byłoby zasadną kategorią opisu poezji na przykład ks. Jana Twardowskiego czy Karola Wojtyły.

J.A.I.: Ma Pan rację. Jak to często powtarzam, moja poezja nie jest „poezją kapłańską” w sensie nadanym temu wyrażeniu przez Stefana Sawickiego: „Rzecz o specyficznych aspektach życia kapłańskiego lub wypowiedź o świecie z wnętrza kapłańskiego doświadczenia”. Nie jest to nawet „poezja teologiczna” – jak Wojtyły. Nie mając umysłowości filozoficznej nie potrafię tworzyć wierszy filozoficznych czy metafizycznych, które są jakby ubranym w symbole i obrazy zamyśleniem nad ważkimi problemami świata i egzystencji. Moje wiersze to raczej próby opisu konkretnych wypadków i zwykłych sytuacji ludzkich oparte o intuicyjne przecucie ukrytego w tych wydarzeniach jakiegoś „drugiego dna”, dotknięcie którego przez opis w wierszu da czytelnikowi tę radość, która płynie z przeniknięcia poza

banalność powierzchownego tylko poznania świata i własnej egzystencji. Jak napisała w innym kontekście Beata Obertyńska, „Szczęście nie ma być wielkie by było doskonałe”. Może płynąć z głębszego i bardziej sympatyzującego zobaczenia „Popołudnia podwórzowego burka”, jak i dramatu wojennego zniszczenia. Mam nadzieje, że moje wiersze w tym sensie są kapłańskie i chrześcijańskie.

E.Z.: Jako czytelnik nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Równocześnie jednak nie sposób nie zauważyć - co podkreśla Alicja Jakubowska-Ożóg, redaktorka *Poezji zebranych* i zarazem autorka do nich wstępu - że wiersze Księdza nierzadko „przywołują autorytet Biblii” i że jest ona w nich obecna nie tylko w postaci cytatu, aluzji czy parafrazy, ale nade wszystko „w sposobie ujmowania ludzkiej egzystencji, wykorzystywana jako dyskretny komentarz do rzeczywistości nie pozbawiony często ironii czy sarkazmu”. Na potwierdzenie tak sformułowanej tezy można przytoczyć takie piękne, głębokie wiersze jak „Krajobraz wewnętrzny”, „Balaam”, „Niewidomy z Betsaidy”, „W poszukiwaniu straconego domu”, „Elegia na śmierć Kosówki”, „Powrót wygnańców” czy „Upadek zachodniego świata” - wymieniłem kilka zaledwie przykładów. W innym miejscu przywołana autorka napisze wprost: „Poezję autora *Niewidomego z Betsaidy* należy widzieć jako swego rodzaju palimpsest, w którym w różny sposób poprzez bezpośrednie nawiązania, stylizacje, inkrustacje motywami, postaciami prześwieca obraz *Księgi*”. To bardzo trafna, moim zdaniem, interpretacja.

J.A.I.: Bardzo pochlebna ta opinia pani Jakubowskiej-Ożóg, mam nadzieję zasłużona. Ale tutaj potrzeba ostrożności. Takie nasycenie „językiem biblijnym” może być tylko skutkiem podobnego nasycenia potocznej kultury polskiej. Nie musi być ono dowodem osobistego przyjęcia biblijnej wizji świata. Przykłady z polskiej, i nie tylko polskiej literatury można by mnożyć. Choć jak się sprawa ma, da się na ogół poznać przez analizę roli, jaką spełnia ten język w poszczególnych utworach.

E.Z.: Obszerny tom *Poezji zebranych* stanowi (niepełny) plon blisko sześćdziesięcioletniej działalności twórczej Księdza. Od pewnego momentu preferuje Książ formę krótką, często epigramatyczną, która przynosi skondensowane rozpoznania, a także pytania dotyczące istoty ludzkiej egzystencji. I znowu tytułem przykładu przytoczyć można kilka wierszy: „O zachodzie słońca”, „O ptasie skrzydło”, „Statek widmo”, „Epigramat o nadziei”, „Do drzwi dochodząc”. W jednym z nich udziela Książ wręcz dowcipno-przekornej odpowiedzi ma pytanie „Dlaczego

piszę krótkie wiersze”.

J.A.I.: Najprostsza odpowiedź: bo się starzeję. Przyszło to bez żadnego mojego zamierzenia, naturalnie. Zenon Ożóg pisał kiedyś o cechach charakterystycznych „poezji senilnej”. Krótkość może być taką cechą. Starzy ludzie szybko się męczą. Przywołany przez Pana wierszyk daje odpowiedź właśnie w tych kategoriach. Człowiek się łatwiej wyczerpuje. Ale można na to spojrzeć od strony pozytywnej: nie chodzi tu tyle o krótkość, co o zwartość. Moim zdaniem najbardziej przejmujący późny wiersz Mickiewicza to właśnie pięciolinijkowe „Połały się łyzy”. Gdy się złączą dojrzałość starości (jeśli się do takiej dojdzie!) i opanowanie rzemiosła, człowiek może dojść do sedna sprawy „na skróty” i znaleźć metaforę, która to wyrazi.

E.Z.: Podrażmy przez chwilę ów problem „dojrzałej starości”, choć w nieco innym aspekcie. Poezja Księdza nigdy nie była przesadnie optymistyczna, sporo w niej wizji ciemnych, apokaliptycznych, a przywołany przed chwilą badacz, charakteryzując tom *Niewidomy z Betsaidy*, stwierdził, że jest on naznaczony „w nieporównanie większym stopniu niż cała dotychczasowa twórczość, piętnem śmierci”, co pozwoliło mu przywołać obecne, jego zdaniem, w wierszach Księdza „poczucie fatalizmu losu człowieka”. Swe wnikliwe i interesujące skądinąd refleksje badacz ów kończy następującą tezą: „Wydaje się, że te wyznania, których tematem jest negatywny stosunek zarówno do życia, jak i do śmierci, stanowią raczej wyraz kryzysu duchowego. Nie ma tu buntu, rozpacz, ale męskie wyznanie obawy, lęku wobec nieuchronnie uciekającego czasu”. Czy Ksiądz gotów przyznać, że przytoczone sformułowania trafnie oddają Jego życiową i pisarską filozofię?

J.A.I.: Owe psychoanalizy krytyków literackich sprawiają mi satyryczną radość. Nie bardzo jednak rozumiem dlaczego świadomość „nieuchronnie uciekającego czasu” ma być „wyrazem kryzysu duchowego”. W pierwszym rzędzie świadczy raczej o wyleczeniu się z choroby młodości, wiary we własną nieśmiertelność (i to nieśmiertelność, która jakoś zaneguje rzeczywistość śmierci – co, jak ktoś powiedział, jest dobrą definicją piekła). Moja „filozofia” to rzeczywiście wiedza, że „wszystko mija”, ale nie jest to wiedza pełna strachu czy goryczy, lecz wiedza wyzwalająca z zależności od rzeczy, w których choćbym nie wiem jak chciał, nie znajdę stałego domu.

E.Z.: W „Pieśni samotnego człowieka” znajdujemy korespondujący z tą konstatacją fragment:

Dom mój wielokroć budowany

rozpłynął się jak zmrok

bo z chcień i snów uwity

ułudy wiecznej namiot

J.A.I.: To jest bardzo wczesny wiersz, powstał w latach pięćdziesiątych. Obawiam się, że nie rozumiałem tego stwierdzenia w kategoriach metafizycznych czy teologicznych, a raczej tylko egzystencjalnych. To takie stwierdzenia młodego człowieka, że wszystkie próby znalezienia kontaktu, domu w tym sensie kończą się niepowodzeniem. To, co miało być domem na życie, okazało się być tylko pokojem hotelowym.

E.Z.: Jako twórca stawiał sobie Ksiądz zawsze wysokie wymagania. Nie wątpię, że mimo absorbującego powołania kapłańskiego, poezji, owej wielkiej pani, jak ją określił Karol Wojtyła, poświęcał Ksiądz należną uwagę. Utwierdzają mnie w tym odczuciu nie tylko same wiersze, ale także jedna z wcześniejszych, z początków lat sześćdziesiątych, wypowiedzi Księdza. Rozważając funkcję i znaczenie metafory, która pozwala „zejść głębiej, poniżej powierzchni rzeczy, by w jakiś sposób dotknąć ich tajemnicy” stwierdził Ksiądz wówczas, że „poznaje się istotę świata (ut cognitum ut appetitum) przez głębsze poznanie samego siebie”. I dlatego, tak brzmiała konkluzja wywodu: „poeta ma obowiązek wobec samego siebie pogłębiania swego życia duchowego. Poezja to zakon, a nie łąka motyli”.

J.A.I.: Nie wiem czy sformułowałbym to w ten sam sposób obecnie, ale podstawowa myśl jest wciąż moja. Godzę się z Wojtyłą, że „Poezja to wielka Pani” (choć może nie tak wielka jak on uważał – mniej we mnie dziedzictwa romantyzmu). Dlatego nie można jej traktować „per nogam”. Stąd obowiązek pisania dobrze, i nie jest tu błahą sprawą opanowanie rzemiosła. Ale chodzi o coś więcej. Poezja musi płynąć ze szczególnego rodzaju wiedzy. Inaczej wiersze staną się pustym przelewaniem pięknych choćby słów, lub taką czy inną „propagitką”. I tu sprawa metafory, która

jest dla mnie podstawowym językiem poezji. Metafora, czy bardziej ogólnie stworzenie symbolu, to próba uchwycenia i zakomunikowania owej intuicji „drugiego dna” rzeczy, owego zejścia w głąb, poniżej powierzchni rzeczy, by w jakiś sposób dotknąć ich tajemnicy. A zdolność do takiego spojrzenia w głąb wymaga dyscypliny intelektualnej i moralnej, czy ogólnie egzystencjalnej, bez niej człowiek ślizga się po powierzchni od podniety do podniety. Tak więc poważne traktowanie siebie jako poety, poważne traktowanie Poezji, wymaga podwójnego trudu opanowania medium i opanowania siebie. I tu podobieństwo do zakonu. Kto nie jest na ten trud zdecydowany, niech się poświęci produkcji cukierków lub sprzedawaniu działek na Marsie.

E.Z.: Wielokrotnie Ksiądz podkreślał, że nie miał ambicji zostania poetą anglojęzycznym. Przebywanie wszakże przez kilkadziesiąt lat na obczyźnie sprawiło, że wiersze Księdza pozostawały, nie tylko ze względów politycznych, poza głównym nurtem także polskiego życia literackiego. Dotyczy to zresztą również poezji innych uczestników naturalnego literackiego eksperymentu, jakim była grupa Kontynentów. Krytycznie wypowiadają się na ten temat m. in. Czaykowski i Czerniawski w wydanym przed kilku laty tomie swych rozmów zatytułowanym *O poezji, nostalgii, krytykach i kryteriach*. Zwracają w nim m. in. uwagę na preferujące „krajowców” mechanizmy polskiego życia literackiego, w tym charakterystyczne hierarchie tzw. środowiska. Czy fakt ten był, jest przedmiotem refleksji Księdza?

J.A.I.: Nie wiem czy refleksji, bo mało temu poświęciłem czasu i uwagi. Ale to jest na pewno tak zwany „fakt życia”. W jakimś sensie jest to normalna ludzka sprawa kumoterstwa, które działa w tworzeniu tak zwanych elit. Był to dawniej (może nadal jest) problem pisarzy mieszkających na tak zwanej prowincji. Czerniawski z Czaykowskim na to utyskiwali, bo ich irytowało to wykluczenie z salonu. Ja to przyjmuję za jeden z „faktów życia” i nie buntuję się przeciw byciu poetą bardzo „niszowym”.

E.Z.: Dotychczas w naszej rozmowie nie pojawiły się wątki osobiste, prywatne, a myślę, że czytelnika zainteresować by mogło, co wypełnia Księdzu czas poza posługą kapłańską i pisanem wierszy? Czy Ksiądz utrzymuje kontakty towarzyskie z twórcami, zwłaszcza polskimi, osiadłymi na tym kontynencie? Co jest Jego pozazawodową i pozaliteracką pasją? Słowem jak „zagospodarowuje” Ksiądz tak

twórczo owocującą jesień swego życia?

J.A.I.: Obawiam się, że tego czasu poza „posługą kapłańską i pisaniem wierszy”, a przecie także pracą badawczą i pedagogiczną zostawało mi przez życie bardzo mało. I nie tylko o czas tu chodzi, ale – głównie – o inwestycję kapitału intelektualnego i emocjonalnego. Geografia sprawia, że kontakty z twórcami (i w Polsce, i na tym kontynencie) są raczej mizerne i sporadyczne. Obawiam się też, nie mam niczego, co by można nazwać „pozazawodową pasją”. Są naturalnie rzeczy, które sprawiają mi przyjemność, czy dają radość, którymi wypełniam wolny czas: muzyka klasyczna, dawniej wycieczki wysokogórskie.

Jak zagospodarowuję ową „jesień”? Na razie idę jeszcze „rzędem” i naukowym, i poetyckim. Są rzeczy do skończenia (jak na przykład wydanie *Poezji zebranych*). Ale powoli zamykam mój warsztat naukowy i poetycki. Może spróbuję tłumaczenia – jest kilku poetów angielskich, których chciałbym udostępnić czytelnikowi polskiemu. Ale chyba najbardziej zadawalającym zajęciem emeryta jest żyć i czytać bez pośpiechu. Tyle jest wokół nas rzeczy i słów, którym warto się przyjrzeć, a które, spostrzeżone, sprawiają radość.

E.Z.: Gdy Ksiądz w 1969 roku wybierał Houston jako miejsce swej długoletniej pracy i równie długiego zamieszkania, stawiając pierwsze kroki na swej „nowej planecie”, mniej więcej w tym samym czasie, konkretnie w dniu 20 lipca tego roku, Neil Armstrong przekazał z pokładu Apolla 11 historyczną wiadomość o wylądowaniu amerykańskiego statku kosmicznego na Srebrnym Globie. Centrum Kierowania Lotami Kosmicznymi znajduje się... w Houston. Nie potrafię nie zapytać, jak to dziejowe w życiu naszego gatunku wydarzenie przyjął ksiądz, profesor teologii i poeta?

J.A.I.: Lądowanie na Srebrnym Globie odbyło się na miesiąc przed moim przyjazdem do Houston. Byłem wtedy w Ottawie, w Kanadzie. Naturalnie, byłem zainteresowany i ucieszony tym osiągnięciem naukowym i technicznym człowieka. Ale jako profesor teologii i ksiądz, a może chrześcijanin, nie byłem i nie jestem skłonny traktować go w kategoriach metafizycznych, nie więcej niż, na przykład, dotarcie do bieguna. Inaczej mówiąc, nie jestem wcale pewien, czy napisanie *Boskiej komedii*, lub muzyki Mozarta, nie ubogaciło duchowego życia ludzkości więcej w tym, co jest na prawdę

zasadnicze.

Mississauga - Houston, sierpień 2012